№ 8.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 19 lutego 1848. Rok dziewiąty.

Wychodzi co sobota regularnie. Przedpłata we Lwowie rocznie 10 zr. półrocznie 5 zr. kwartalnie 2 zr. 30 kr. m. k. Bez rycin rocznie 4 zr. półrocznie 2 zr. kwartalnie 1 zr. m. k. Na prowincii chcący odbierać pocztą dołączają do cen powyzszych za przesyłkę pocztową rocznie 1 zr. 36 kr. półrocznie 48 kr. kwartalnie 24 kr. Z prowincii można nadsyłać pocztą należytość prenumeraty pod adresem redakcii Nr. 301 we Lwowie, w którymto jedynie razie redakcia ręczy za regularną przesyłkę numerów w opieczętowanych kopertach. W królestwie polskiem i Rosii prenumerata składa się na pocztach.

M O D Y.

Z Paryża, dnia 7 lutego 1848.

W świecie modnym niewiele się zmieniło. Żaden z pojedynczych strojów nie uzyskał dotychczas pierwszeństwa nad innemi. Nie pozostaje nam więc nic innego, jak rozpoczęty przed 7 dniami opis zbogacić kilkoma najświeższemi strojami, oto są: Suknia jedwabna mieniąca, obszyta we dwa rzędy frędzlą tego koloru co i suknia, i złotą taśmą nad frędzlą, stanik gładki wycięty, kończasty, szeroką frędzlą z złotą taśmą nakształt berty obszyty. Ubior od wyjścia: Suknia fioletowa atłasowa, spodnica przystrojona sześcioma ukośnemi leżerami, każda w zęby wycięta i czarną frędzlą obszyta; stanik gładki, wysoko zachodzący, i tak samo nakształt wyłogów leżerami w zęby wyciętemi i frędzlą obszytemi przystrojony; rękawy długie, gładkie, u dołu zaokrąglone i do samego łokcia otwarte, pod spodem muszlinowe rękawki szerokie i całe marszczone; mantylka aksamitna orzechowa nakształt szalu, z tyłu zaokrąglona, wycięta na ramionach, a z przodu spadająca w długich końcach, w ząb ściętych, obszyta dokoła dwa razy szeroką frędzlą z szerokiemi krepinami; kapelusz atłasowy niebieski, denko obszyte szeroką koronką, spadającą na kanię. Suknia aksamitna niebieska, obszyta kunami i taśmą szmuklerskiej roboty; stanik gładki, wysoko zachodzący, przystrojony wyłogami i kołnierzykiem futrzanym, rękawy obcisłe, obszyte futrem; długa peleryna z tego samego futra; kapelusz aksamitny czarny, obszyty różowym atłasem i ubrany czarną koronką.

Rycina przedstawia: Suknią balową z różowej włoskiej kitajki, z dwoma spodnicami w zęby wycinanemi i podpinanemi bukietami róż na jedwabnej białej spodnicy; stanik gładki bardzo wycięty, kończasty, o trzech szwach; berta podwójna w zęby wycinana; bukiet róż przy staniku. Na głowie zawój gazy jedwabnej. Ubior drugi od wyjścia: Suknia adamaszkowa zielona, barwy mirtu, obszyta z przodu we trzy rzędy guzików, stanik gładki, wysoko zachodzący, z dwoma końcami u dołu i ozdobiony guzikami, rękawy gladkie z naramiennikami otwartemi, związanemi taśmą jedwabną; kapelusz krepowy biały, ubrany we trzy rzędy blondyną bardzo mało marszczoną i przystrojony bukietem róż.

SZPICRUT HONOROWY.

Obrazek z życia przez Józefa Dzierzkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

III.

I dotrzymał słowa nasz bohatyr. Ledwie kilka tygodni minęło pan Kazimirz był *ultra fashionable* a nawet był w modzie. Bo miliony są zawsze w modzie. I bywał u pani Antoniny i bywał u pani Eulalii, która wszystkie wdzięki swego zadartego noska wyciągała ku niemu.

I żył na przyjaznej stopie ze wszystkiemi lwami bez grzyw i z grzywami. I zaproszony uczęszczał na wszystkie baliki i reuniony, i harbaty z tańcami i bez tańców. I ząsiadał do zielonych stolików ze wszystkiemi ilustraciami towarzystwa — bo miał pieniądze.

I był celem uprzedzeń męskich i czułych spojrzeń niewieścich; a nawet przedniejsze lwy, nazywając go przyjacielem serdecznym, pożyczali od niego pieniądze, a mniejsze heretierki spoglądały figlarnie i zalotnie na niego, bo miał pieniądze.

I nasz bohatyr opływał w pochlebstwach jak pączek w maśle.

A więc miał i powóz, i konie, i stroje modne, i kamerdynerów, i układ salonowy pański — wszystko miał, bo były pieniądze, a za niemi i wziętość i zaszczyty.

Zgoła pan Kazimirz żył w towarzystwie wyższem, jakby w swojem, jakby się w niem urodził i wypiastował. I wszyscy go wielbili i kochali, a cenili mocno, bo po milionowej jego wartości. Już go hrabia Artur i hrabina żona jego nie nazywali panem Bilczyńskim ale panem po prostu, acanem dobrodziejem, lub prostym a tak przecie znaczącym francuskim *Vous* i *Monsieur*. Hrabia Alfred nazywał go przyjacielem i przybrał go za towarzysza swoich wycieczek romantycznych.

Hrabianka Izabella przestała żartować z niego i przeciwnie zaczęła z nim żartować z drugich, co było znakiem wielkiej łaski z jei strony. Prawda, że nasz bohatyr rzucał kongrewskie na nią spojrzenia, a wzdychał jakby miech nieprzymawiając. A że hrabia Artur coraz więcej miał długów, a panna Izabella coraz więcej latek — więc też mu w odwet odstrzeliwała spojrzeniami i odpłacała się westchnieniami. Czuły między niemi stosunek szedł galopem. Jak wiadomo, posiadacze milionów jeżdżą zawsze galopem.

I tak się umiał jakoś nasz bohatyr przypodobać, tak wszystkim przypadł do gustu, że całemu towarzystwu wydał się on jakby był jego odwiecznym członkiem. Miliony przeważyły dorobkiewiczostwo. Ten zupełny indygenat nie obszedł się jednakże z początku bez pewnych trudności. Trudności te nie robili mu wszyscy członkowie towarzystwa, bo są między nimi ludzie wyżsi nad wszelkie przesądy, którzy boleją szczerze nad tam zaślepieniem, i nieraz sami niezasłużenie pokutować muszą za te ułomności należących do ich towarzystwa purystów, ludzi zawsze wątpiących, zawsze niepewnych, ludzi dawnych tradycij.

Owoż, ponieważ jak wiadomo, powieściarze mają przywilej odgadnięcia i podsłuchania najskrytszych tajemnic i wciśnienia się do najskrytszych gabinetów, opowiem państwu rozmowę nader ważną, jaka miała miejsce między obiadem a zielonym stolikiem, przy luleczce i piórku od zębów. Siedziało razem trzech mężczyzn. Oczywiście wszyscy trzej starzy doskonale, a więc tem samem rozumni i nader znakomici ludzie. Wielcy to kapłanie przyzwoitości.

Jeden z nich byłto pan Dezydery Sroczyński, pan na różnych włościach, przydomkach herbowych i który miał wszystko by być hrabią, bo i ton po temu, i chęci gorące, i nawet korony połowę na karecie, wszystko prócz dyplomatu.

To był najznakomitszy z zasiadających.

Dwaj drudzy asesorowie tego komitetu zaimprowizowanego, bylito także dwie stare już faciaty, jedna łysa i siwa, druga siwa i łysa; jedna z brzuchem, druga bez brzucha; jedna wyższa, druga niższa. Ale obaj ubrani z całą wytwornością dawnej młodości. Bylito pan Dyzma Lejkowski i pan Edgar Leopoliński.

I zasiadłszy poważnie, przez długi czas milczeli, puszczając uroczyście przeciągłe dymy z długich cybuchów. Wreszcie krząknęli wszyscy, najgłośniej i najuroczyściej krząknął pan Dezydery. Toteż poprawiwszy halsztuczka, pierwszy przemówił:

— „Coż myślicie o tej nowej figurze?“

— „Aha!“

— „Tak“ odpowiedzieli krótko ale ze znaczeniem.

— „Niewiedzieć kto go rodzi!“ dodał pan Dyzma.

— „Ale gruby odziedziczył majątek po stryju!“ zauważał bardzo sprytnie pan Leopoliński.

— „A stryj był kanonikiem!“ dodał znowu pan Dyzma.

— „Jednakże wypadałoby się zastanowić wprzódy, bo to w teraźniejszych czasach trzeba być ostrożnym z przyjmowaniem takich nowych figur do naszych salonów.“

— „Nareszcie kanonik byłto ruski!“

— „Rozsądna bardzo uwaga!“ przerwał nagle pan Dezydery „więc ten pan Bilczyński jest greckiego obrządku?“

— „Popowicz“ powtórzyli drudzy z rodzajem szczególniej pogardliwego przycisku.

— „Nie! nie! nie wypada go przyjmować,“

— „Zapewne! ale zawsze przecie ma milion majątku!“

— „Milion!

— „Milion!“ i zadumali się głęboko nad tym sękiem.

— „Nareszcie“ mówił dalej pan Edgar „zrobię wam uwagę, żeśmy przecie przyjęli do naszego towarzystwa pana Alfonsa, chociaż....“

Resztę dokończył dymem.

Pan Dezydery krząknął niespokojnie.

Pan Dyzma świsnął z przyciskiem.

— „A niema nawet miliona!“

— „To ważny argument za Bilczyńskim.“

— „Nie wiem jak też stoi z jego francuszczyzną.“

— „Trochę po kołomyjsku.... ale zawsze milion!“

— „Kłania się nieźle....“

— „Ubiera się z gustem.“

— „Dobrze już, dobrze moi panowie! ale jeszcze jedna ważna kwestia?“ i zatrzymał się pan Dezydery, krząknął uroczyście, poprawił halsztuka z powagą, i tak rzecz swoją ciągnął dalej: „Jakie też są jego zdania, opinie? he?“

— „Tak! tak! opinie?“ dodał pan Dyzma, rzuciwszy wzrok pełen szacunku na pana Dezyderego,

— „Opinie jego są nasze, o ile zrozumieć mogłem“ odpowiedział pan Edgar, który widocznie naszego bohatyra brał w obronę.

— „Jakto?“

— „Nasze?“ zapytali obydwa z niepospolitem zadziwieniem.

— „To jest właściwie.... on niema żadnych opinii...“

— „Rozumiemy!....“

— „A więc! niechże do nas należy.... wszak prawda? wypada go przyjąć....“

— „Wypada! wypada!“ odpowiedzieli i odetchnęli wszyscy po tej walnej naradzie.

Po tem szło już naszemu bohatyrowi jak po maśle; a gdy jeszcze pan Dezydery złowił go w diabełku na paręset ryńskich, pan Kazimirz Bilczyński stał się człowiekiem *comme il faut*.

I stawszy się doskonałym gentlemanem, został też wkrótce stewardem. I słusznie, bo miał konie najlepsze, bieguny wyścigowe od stu diabłów; trenera z Anglii, a żokieja z samego Londynu, w barwy rodowite rodziny Bilczyńskich przybranego. Bo jużto rozumie się, że nasz bohatyr i swojego P r u s a ojcowskiego i matczynę p a n n ę n a n i e d ź w i e d z i u wpakował z hełmem i pawiemi piórami na powozy swoje i guziki lokajskie. Jakoś to zrobiło bardzo rzęsiste wrażenie!

Brakowało mu tylko, by zwyciężył na wyścigach, które właśnie się zbliżały. Jakoż los pociągnął za dobremi końmi i żokiejem angielskim. Nasz bohatyr zwyciężył dwa razy o pół głowy, raz o ćwierć głowy, i zdobył rozmaite nagrody, a między niemi śliczny szpicrut honorowy, podobniuteńki do szpicruta pana Alfreda, z konikiem i złocistemi świecidełkami. To był cel jego dążeń. W skutek też tego szczęścia niepospolitego nasz bohatyr zaprosił całe towarzystwo na wielki festyn. I w tym względzie odstąpił zupełnie od tradycij wyścigowych. Nie byłto bowiem obiad ściśle męski, z muzyką i szampanem, jak to w zwyczaj wprowadzili jego poprzedniki. Pan Kazimirz dla odmiany postanowił wyprawić podwieczorek w jednym z obszerniej-

szych zamiejskich ogrodów, podwieczorek suty i wspaniały, z szampanem i muzyką, ale co głównie, z płcią piękną. Pan Kazimirz zaprosił bowiem wszystkie panie z towarzystwa, które chętnie przystały, dowiedziawszy się jeszcze z niemałą pociechą, że na zielonej murawie miała być zaimprowizowana sala balowa. A więc była i nadzieja tańcowania. Do tego wszystkiego mówiły wszystkie i mówili sobie wszyscy na ucho, że przy tym podwieczorku miały się odbyć zaręczyny pana Bilczyńskiego z panną hrabianką Izabellą. Po prawdzie powiedziawszy, nikt z mężczyzn nie zazdrościł naszemu bohatyrowi, ale za to płeć piękna zazdrościła pannie hrabiance.

Jakoż w samej rzeczy był podwieczorek suty: na szerokiem błoniu, wśród pagórków i gajów, pokryto zieloną murawę zaimprowizowaną posadzką. Muzyki rznęły od ucha; roznoszono cukry i lody dla rozgrzanych tanecznic, chodzących chłodzić się po gaiku zielonym; a szampanem raczono mężczyzn należycie. Toteż całe towarzystwo dałoby się zabić za naszego Bilczyńskiego, którego obsypywano wszystkiemi przymiotnikami francuskiemi, jakie tylko przypomnieć sobie mogli.

Nie będziemy wdawać się w szczegóły tego podwieczorku, który był podobniuteńki do wszystkich tego rodzaju zabaw; opowiemy tylko uroczystą scenę zapowiedzianych zaręczyn. Jużto na chwilę wprzódy stary hrabia Gniazdowski stanąwszy uroczyście przy hrabinie Gniazdowskiej, powołał do siebie kilku luminarzów obojej płci i pana Bilczyńskiego.

— „Owoż“ zaczął hrabia zażywszy tabaki i uderzywszy się poważnie po brzuchu „przystaję na te dzisiaj zaręczyny głośne pana Bilczyńskiego z córką moją, jak sam sobie tego życzyłeś....“

— „Ale....“ zagadła matka panny hrabianki.

— „Ale....“ powtórzyli przytomni i wpatrzyli się uroczyście w hrabiego Gniazdowskiego.

— „Ale“ ciągnął dalej hrabia Artur „pan Bilczyński przyrzekł mi uroczyście i stwierdził słowem honoru, że....“

Tu wszyscy wyciągnęli uszy ciekawie.

— „Że postara się pierwej o tytuł przyzwoity.“

Nasz bohatyr ukłonił się w znak podziękowania.

A ponieważ był przestanek tańcowy właśnie, posunął się pan hrabia z niepospolitą powagą nóg i twarzy, i ująwszy naszego bohatyra za prawicę, wszedł na środek parkietu balowego.

Muzyki pocichły; zdala tylko, gdzieś z gaiku odzywały się jakby dęte instrumenta, przegrywając pojedyncze akordy pełne tonów czułych i tkliwych.

Już więc odkrząknął stary hrabia do uroczystej przemowy.

Już hrabianka przybrawszy skromną postawę złośliwe oczy w dół spuściła.

Już hrabina podnosiła batystową chustkę do ócz.

Już całe towarzystwo męskie i żeńskie skupiło się wkoło.

Gdy nagle wystąpił pan Kazimirz z uśmiechem słodkim i rozczulonym na ustach, a trzymając hrabiego Artura, przyszłego szwagra swego, poufale za rękę, przemówił z rodzajem w towarzystwie bardzo popłatnej niedbałości.

— „Proszę o chwilę cierpliwości!“

Ciekawość skupiła coraz ciaśniej gości podwieczorkowych.

— „To pewnie będzie jakaś siurpryza!“ szeptali do siebie.

— „Zanim przystąpimy do tego aktu uroczystego“ mówił dalej pan Kazimirz z przyciskiem coraz więcej szyderskim „wypada mi podziękować wam moi panowie i moje panie, żeście mnie raczyli przyjąć do waszego grona, chociaż właściwie nie jestem wam równy rodem i po części dzięki memu wyznaniu uważany jestem za popowicza“

— „*C'est mauvais genre*“ zaczęto mruczyć zcicha.

— „I czemże mogłem zasłużyć na tyle zaszczytu i łaski? Tobie chyba mam za to podziękować, hrabio Alfredzie.“

I silniej ujął za rękę młodego Gniazdowskiego.

— „Tyś bowiem przed dwoma laty raczył mię pasować na rycerza honorowego.“

Twarze wszystkie zaczęły się fatalnie przeciągać! Hrabia Alfred nieprzyjemnem wzruszony przeczuciem, chciał mu wyrwać rękę, ale nasz bohatyr za silnie ją trzymał.

— „Co to?“

— „Pasował?“

— „Na rycerza?....“ ozwały się wkoło głosy zdziwione i poturbowane.

— „Tak jest! hrabia Alfred przeczuwając zapewne, że mnie kiedyś zechce obdarzyć rączką swojej siostry, raczył mnie uderzyć szpicrutem honorowym, uzyskanym na wyścigach konnych, i nazwał to łaskawie pasowaniem na rycerza honorowego.“

Tu powszechne przerażenie do wysokiego dochodziło stopnia.

— „A więc pozwól mój miły hrabio!“

I szybko odwrócił się do stojącego za nim kamerdynera z wielką tacą, napełnioną butelkami i kielichami. Na widok tego ruchu zaczął Alfred z całą siłą wyrywać rękę swoją, lecz mu się to nie udało znowu.

— „Bym ci oddał pasowanie za pasowanie!“

I porwał w rękę podany sobie przez kamerdynera szpicrut honorowy i podniósł go do góry. Hrabia Alfred ostatnie zebrawszy siły, wydał się w tył, by się wyrwać koniecznie, lecz to mu na to tylko posłużyło, że zamiast co miał dostać pasowanie po grzbiecie, jak było w chęci naszego bohatyra, dostał najfatalniej całym szpicrutem po całej twarzy, aż z brzękiem złote okulary padły na parkiet balowy.

— „Teraz kwita z tobą, panie rycerzu szpicrutowy!“

I puścił hrabiego Alfreda, który w skutek gwałtownego ruchu potoczył się w tył, aż go znajomi w ręce schwytać musieli. Pan Kazimirz zaś założywszy ręce na piersi, dodał głosem zupełnie zmienionym:

— „Zaszczyt zaś rączki panny hrabianki Izabeli odrzucam zupełnie, niech sobie innego szuka męża.“

Wszyscy stali przerażeni i osłupiali, i nikt słowa wyrzec nie śmiał, tak ich ta scena nieprzewidziana zdybała niespodzianie. Groźne spojrzenia padły na naszego bohatyra, który ciągle stał spokojnie, a wkoło niego skupili się jego przyjaciele, którzy bez wiedzy jego przyszli patrzyć na to widowisko.

W środku tych obu gron panna hrabianka spróbowała zemdleć i jakoś udało się jej to wszystko jak najlepiej; tylko zblednąć nie potrafiła, z powodu grubej warstwy rużu na twarzy.

— „To krwi żąda!....“

— „Spodziewam się, że to tak nie skończy się...“

— „Honorowej satysfakcii wymagać trzeba“ zaczęli

pomrukiwać głośniej. Uśmiech szyderczy i pogardliwy jeszcze widomiej wystąpił na twarz pana Kazimirza.

I poszeptawszy kilka słów do Alfreda, przystąpili poważnie i surowo do naszego bohatyra panowie Dezydery i Edgar, jako ludzie najlepiej znający się na sprawach honorowych.

— „Spodziewam się,“ przemówił pan Dezydery „że po takim postępku, któremu trudno dać nazwę przyzwoitą....“

— „Zrozumiesz pan,“ dodał pan Edgar „że pistolety tylko rozstrzygnąć mogą.“

— „Więc to panowie pojedynku żądacie odemnie?...“

— „Rzecz naturalna!“

— „Odmawiam! bo ja popowicz i dorobkiewicz nie czuję się być godnym pojedynku z panem hrabią Alfredem.“

— „To nie jest czas na żarty.“

— „Ja też nie żartuję znpełnie.“

— „Pan przecie jesteś szlachcicem, a więc jako szlachcic, rozumieć powinieneś co są wymagania honorowe, co jest odwaga nareszcie!“

— „Moi panowie, ja tej odwagi waszej, odwagi jak ją nazywacie szlachcica, mogę nie mieć; nie dbam o tak lichą odwagę. Mam to przekonanie, że pojedynek jest rzeczą nierozumną.... Ja się do takiej odwagi dla nierozumnej rzeczy nie przyznaję; bo mam lepszą jedynie godziwą odwagę prawego człowieka, którą dowiodę w życiu poświęconem dobru moich ziomków.“

— „Ślicznie pan to powiedziałeś i może bardzo czule i rozumnie; zostań pan z takiemi sentymentami i postępowaniem, ale muszę panu tę zrobić uwagę, że na ludzi odmawiających pojedynku, są sposoby przymuszające!“

— „Czy pewnie?“ zapytał szyderczo pan Kazimirz.

— „Spodziewam się, że pan nie zechcesz czekać na pobudzenie odwagi pańskiej.... kijem!....“

— „Dosyć tego, moi panowie.... przestańcie straszyć próżnemi pogróżkami. To nie jest sprawa wasza ja do was nic nie mam moi panowie; to jest moja prywatna sprawa z panem Alfredem Gniazdowskim. To jest“ dodał z powagą zastępującą miejsce szyderstwa „rodzaj długu, który mu oddałem, jakoż powtarzam panu Alfredowi, że mu innej nie dam satysfakcii nad tę, którą mu już dałem. Co się tyczy środków przymuszających muszę panu Gniazdowskiemu przypomnieć, co on zapewne łatwo pojmie, że ja mam..... silniejsze od niego pięście. Żegnam panów!....“

Jakoż towarzystwo całe zaczęło się oddalać, dzieląc po części to przekonanie, że osobista zemsta pana Kazimirza, jakkolwiek nieprzyzwoita, była poniekąd słuszną.

Ostatni odchodzili Gniazdowscy, podtrzymując ciągle omdlałą hrabiankę.

Śmiech pana Kazimirza towarzyszył im do powozu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Do Kazimiry ***

Jako lilia, wieczorną rosą obciążona —
Klonisz smętnie swą główkę, i z tęsknego łona
Rzewne tylko westchnienia ronisz nieskończenie.

Obraz chwil drogich, błogo ubiegłej przeszłości;
Niezatartemi barwy w sercu twojem gości,
I myśl twoją pogrąża w żałobne marzenie.

Miłując wspomnień boleść — odpychasz nadzieję!
Niechcąc spojrzyć w tajemnej przyszłości koleje;
Chceszże paść cierpień serca ofiarą zawczesną?

Czyż łzy, któremi zawsze lśni twoja źrenica,
I smutek, który niszczy kwiat twojego życia,
Cofną przeszłość, lub pamięć otulą bolesną?

O luba, to niegodne twojej wzniosłej duszy!
Winnaś wzmocnić twe serce na razy katuszy,
By słodzić nie przestało smutnej innych doli.

O luba, wznieś ku gwiazdom piękne twoje oczy,
A powróci w nie promień pierwotny, uroczy,
Lecz niechaj się z spojrzeniem i myśl twa zespoli.

Patrz, gdy błękit zapłonie jasnem okiem słońca,
Jak ku niemu podnosi główkę lilia drżąca,
I wnet jej wiotka postać nowem życiem silna.

Luba! błękitem dusza — słońcem wiara święta!
Onato nas umacnia, słodzi życia pęta,
Z nią wraca nam nadzieja, jedna — nieomylna.

Olimpia.

List z Krakowa o teatrze.

Po kilkumiesięcznej przerwie, jaka nastąpiła przez rozwiązanie się opery, teatr krakowski obudził się znowu do życia i rozpoczął swój kurs zimowy widowisk, z dniem 1 listopada z. r. I odtąd 3 do 4 razy w tygodniu przedstawiane widzimy na naszej scenie komedie i dramata, bądź oryginalne, bądź tłumaczone. Zamożne domy zamieszkałe w Krakowie — w tem przekonaniu: że tylko od publiczności zależy los sceny — rozebrały loże przez abonament; przyszły tym sposobem w pomoc dyrekcii teatru. Ta starać się tylko powinna o dobrą wystawę, — ażeby ściągnąć liczniejszego widza na parter i inne miejsca, i utrzymać w publiczności krakowskiej to zamiłowanie do teatru, jakie było dotąd....

Zrobiony był projekt nietylko zapewnienia exystencii polskiego teatru, ale i podniesienia go przez dostarczenie funduszu drogą akcii na ten cel rozkupić się mających; piękny ten projekt został zawieszony do późniejszego czasu.

Żałujemy mocno straty opery polskiej, która tak szczęśliwie przez byłego dyrektora zaimprowizowana, postąpiła tak dalece, iż kilkanaście sławniejszych oper odegrane być mogły z zadowoleniem publiczności miasta Krakowa — publiczności, która więcej niż inna obeznana z teatrami drezdeńskim, berlińskim, a nawet i paryskiemi, przy więcej wykształconym smaku jest także więcej wymagająca. Przecież nie wyrzekamy się nadziei odzyskania napowrót opery polskiej, gdy co raz mogło przyjść do skutku, może się i powtórzyć, a niema trudności u nas, na których zwalczenie nie znajdą się odważni. Tymczasem cieszmy się tem co mamy

i wspierajmy to co jest, ażebyśmy po nieczasie nie smucili się tem, żeśmy stracili wszystko.

Towarzystwo aktorów dzisiejsze składa się (wyjąwszy kilku) z samych nowych artystów, których pierwsze pole popisu jest Kraków. Sąto młodzi ludzie, a niektórzy z nich uposażeni prawdziwym talentem do dramatycznego zawodu, kształcą się w oczach naszych, ich postępy są widoczne, spodziewać się jeszcze godzi, że przy pracy, usilności i zamiłowaniu do sztuki, której się poświęcili, zastąpią nam w niedługim czasie panów Rychtera, Królikowskiego i Chomińskiego: aktorów, których zrazu mało ceniono, a którzy w końcu stali się ulubieńcami naszemi. Do grona naszych artystek należą: Pani Sułkoska i Holzmann, panny Radzyńska i Szukiewicz, wymieniam tylko celniejsze. Do pierwszych ról męskich, mamy panów Thomain, Mułkowskiego, Białczyńskiego, Gołębioskiego, Pfeifera; panowie Ładnoski, Jankoski są komikami, jakich lepszych nie posiada żadna scena polska; do nich należy i pan Wisłocki. Wszyscy ci (wymieniłem tylko pierwszych) młodzi, mają czas przed sobą i talenta, a nie brak im na chęci dalszego kształcenia się w zawodzie jaki sobie obrali, podajmy im tylko rękę pomocną, a staną się aktorami jakich nam pozazdrości Warszawa, a bodajby wykształconych w szkole naszej sceny nie zabrała nam!

Pomimo tego składu naszej sceny, od której wymagać więcej, byłobyto żądać rzeczy niepodobnych do zrealizowania; pomimo tego, że każdy z teatru wraca zadowolony i oddaje pochwałę grze artystów i wystawie sztuki, to przecież wyjąwszy lóż kilkunastu zajętych przez osoby abonujące się, tak parter jak i zamknięte krzesła, balkon i galeria rzadko kiedy zapełnione widzimy.

Niektórzy przypisują to uprzedzeniu, jakie ma publiczność krakowska, że bez pp. Królikowskiego, Chomińskiego, bez pani Szturmowej nareście, żadna sztuka w Krakowie nie może być dobrze odegrana. Innego jestem zdania; mniemam, że exystencia teatru dependuje od warunków, Ażeby w mieście naszem zmniejszyła się liczba osób, których imiona nie wyczytasz na żadnej liście składek, cel dobroczynny lub dobro ogólne mających, nie znajdziesz na żadnej liście prenumerantów na pismo krajowe, z którymi jeżeli chcesz się spotkać, pójść musisz na kuglarskie widowiska jakiego cudzoziemca, albo koncert obcej (broń boże swojej) spiewaczki, — potrzeba:

Najpierw: ażeby panowie wysoko estetycznie i dramatycznie uczeni raczyli się zniżyć do złożenia i swojego także grosza na ołtarzu sceny naszej. Ołtarz to ubogi, i dla tego ma być godzien pogardy? Nie, raczej wsparcia godzien i podpory od tych właśnie, których wyższe wykształcenie powinno mniej wykształconych prowadzić ku poznaniu i wspieraniu tego co pożyteczne dla kraju i co dobre.

Warunek drugi:

Ażeby opłata miejsc została zniżona. Podniesiona cena każdego niemal artykułu życia sprawia, że wielu z p. obywateli miasta Krakowa, wielu urzędników, którzy dawniej uczęszczali do teatru, dzisiaj, ze względu na oszczędność, tej miłej dla nich zabawy w teatrze odmawiać sobie muszą.

Myli się pan H. M. w artykule gazety krakowskiej, gdy mówi: że ci, co żałują dwuzłotówkę na teatr, składali rado dziesięciozłotówkę dla widzenia błazeństw kuglarza. Sala pana Boska zapełniała się tymi najwięcej osobami, którzy jeżeli nie wspierają teatr miejscowy, to nie dla niedostatku, ale bądź dla sknerstwa, bądź z powodu zaćmienia serca a przytem i głowy.

Mógłbym zapewnić dzisiejszą dyrekcią teatru, że gdyby idąc za radą naszą, zniżyła opłatę od wnijścia i tak za wysoką na ubogie miasto nasze, gdyby za bilet zamkniętego krzesła dyrekcia położyła cenę dwoch cwancygierów, czyli 2 zł.pol. i 24 groszy, na parterowy do balkonu cwancygiera, na galerię pół; potrójnie większą rozprzedażą biletów chociaż tańszych, kasa teatralna zbogaciłaby się o połowę każdego widowiska. Gdy zważymy, że aktorowie widząc przed sobą liczne audytorium dokładają zwykle większego starania w odegraniu roli, a raz i drugi dobrze oddana sztuka zachęca publiczność do uczęszczania do teatru, gdy nadto wiemy z doświadczenia, że publiczność nie rada chodzi do pustego teatru, już tem samem tańszy teatr ale pełniejszy, będzie większym wabikiem na publiczność. Pierwszym początkiem upadku teatru jest zobojętnienie dla sceny i jej aktorów. Lepiej zatem kontentować się nawet jeszcze mniejszym dochodem ze zniżenia opłaty od wnijścia, (czemu jednak zaprzeczamy) aniželi przez utrzymanie dotychczasowej ceny miejsc, oddalić od siebie publiczność, która gdy przestaje uczęszczać do teatru, odzwyczaja się, w końcu zobojętnieje zupełnie dla sceny, dla której obudzić zamiłowanie jest w interesie dyrekcii.

Warunek trzeci i najważniejszy:

Ażeby dyrekcia teatru w doborze sztuk odstąpiła od tej dążności (od pewnego czasu widocznej) oglądania się i dogadzania gustowi samej galerii, która i tak nie odpłaca się wzajemnie dyrekcii swoim faworem, bo najczęściej jest pusta.

Zdaje nam się, że smutne te czasy przedchełchoskie nawracają znowu do nas, bo wróciły znowu zaczarowane książęta i księżniczki itp. farsy bez sensu i dowcipu. Żeby jeszcze przedstawiały nam obrazki obyczajów swojskich, ale i to nie; mamy znowu olbrzymie tytuły i czerwone afisze; czerwona farba zwabi może jakiego lokaja. Ależ i sztukę Fredra albo Korzeniowskiego można czerwonym ogłaszać afiszem.

Fredro już nie pisze, to wszelako sztuki jego dawniejsze, kiedy bawią publiczność to i nęcą.

Ale słyszymy o kilku nowych utworach Korzenioskiego, których Kraków jeszcze nie zna. Obowiązkiem jest dyrekcii ale i jej interesem starać o każde nowe dzieło antora Żydów.*) Nikt lepiej od niego nie zna gustu swojej publiczności. Nikt ją tak nie zabawi, a bawiąc nauczy czasem. Nie żądamy nowych sztuk francuskich albo niemieckich. Ich sprowadzanie i przekład na nasz język połączony jest z trudnościami i kosztem, ale repertoarz teatru krakowskiego ostatniemi czasy uposażył się tak bogato w najlepsze dzieła obce. Dla czegoż z tego bogatego składu dyrekcia wybiera tylko takie, które dla galerii sprowadzone były i bywały grywane tylko w zapusty; możnaby mniemać, że dyrekcia mało sobie ceni współudział, jaki okazuje dotąd klasa mieszkańców, uposażona wyższem wykształceniem i ta co zamożna w zasoby potrzebne do wspierania teatru. Klasa ta raz zniechęcona opuści teatr, ten może powróci znowu do tego stanu, spadnie do

*) Dyrekcia teatru krakowskiego może o prawo przedstawiania nowych sztuk Korzeniowskiego ułożyć się z redakcią dziennika, umocowaną do tego od autora.

tego niskiego stopnia, na jakim był przed kilku laty, kiedy mieszkańcy w Krakowie wiedzieli, że jest jakiś budynek teatralny w Krakowie, ale na której stoi ulicy nie pytano.

TEATR.

Poezia oznacza siłę wewnętrzną narodu, a że dramat jest szczytem poezii, ztąd z rozwinięcia dramatu można brać miarę umysłowej siły narodu i jej postępu. Postęp zaś ten zmierzyć najlepiej można zestawiając twory lat ubiegłych z tworami dzisiejszemi. Z pomiędzy tworów zaś lat dawniejszych trzeba wziąć do takiego porównania utwor najdoskonalszy, najsilniejszy wyraz owego czasu. Gdyby w naszej literaturze dramatycznej taki najdoskonalszy utwor dawniejszy wyszukać przyszło, bez wahania wybranoby „Barbarę Radziwiłłównę" trajedią Felińskiego. W swoim czasie było to ideał, któremu wszyscy pisarze wyrównać sobie jeno życzyli.

Lat trzydzieści od tego czasu minęło. Literatura i naród uległy rozmaitym wewnętrznym przeobrażeniom. W zasadzie, w widzeniu rzeczy zmieniło się wiele, i to nie na szkodę lecz na korzyść narodu. W literaturze wydobyliśmy się z więzów obcych, rzuciliśmy naśladownictwo klasycznej szkoły francuskiej, wyrobiliśmy sobie pojęcie nietylko prawdziwej poezii, ale i prawdziwej narodowości. Ztąd też dziwne wrażenie robi na nas przedstawienie trajedii w owej epoce napisanej. Już nie widzimy w niej wzoru. W coraz więcej rażący sposób występują przed nami jej wady.

Mamy przypatrzyć się jednej karcie z dziejów naszych, widzić jedną z najważniejszych chwil walki szlachty możnowładnej z królewską władzą. A my tymczasem widzimy zdarzenie na pole drobnej prywatnej zemsty sprowadzone, pochwycone krzywo i krzywo też przeprowadzone. Zamiast króla opierającego potęgę swą na gminowładztwie szlachty, jakim był Zygmunt August, wprowadzony jest monarcha, który w odwoływaniu się do straży, w chwilach odzywającej się chęci absolutnej przypomina czasy Filipa II., a w chwilach zaś innych ckliwą czułość czyli sentymentalność z czasów Ludwika XV.

Witamy sławnych bohatyrów z wieku XVI. Boratyńskiego, Kmitę, Tarnowskiego, a nie znachodzimy prócz ubioru w nich nic polskiego. Historia przechowała nam ich charaktery żywcem; my na scenie śladu charakteru nie poznajemy. Górnicki, Orzechowski zachowali nam mowy miane w tej sławnej walce narodu z królem, sceny całe. Jedna taka mowa lub scena wprowadzona żywcem na scenę, sprawiłaby większe wrażenie, miałaby nawet większą prawdę poezii w sobie, niż w szumnych rymach nadęte przerobienie tych oracij przez Felińskiego. Czytając pamiętniki spółczesne i porównywując je z dramatem, znachodzimy w szczupłych zarysach owych dziejów daleko poetyczniejsze obrazy.

I nietylkoto poeci nie umieli w czasach Felińskiego pojmować poezii i historii; porównajmy Niemcewicza panowanie Zygmunta III. z źródłami, z których brał materiały. W źródłach sceny pojedyncze opowiadane są z życiem, dobitnością historyczną. Niemcewicz to samo opowiada swojemi słowami i zaciera to życie, martwotą je powleka.

Lecz nie jedynie prawdy i wyrazu historycznego nie znachodzimy w tym dramacie; niema tam i najważniejszych warunków prawdziwego dramatu —: charakterów, nie wyświecono nam motywa, z których działające osoby wychodzą. Gdybyśmy charakteru Bony nie znali z historii, czy moglibyśmy zrozumieć zkąd pochodzi jej przewrotność, jej nienawiść Barbary? Czy moglibyśmy w dramacie przejrzyć aż do ostatecznego powodu zemsty? Traiczność w dramacie jest skutkiem walki między światem moralnym a potęgami szatańskiemi. Świat moralny, czyli osoby ten świat wyobrażające, wikłają się coraz mocniej w sidła szatańskie. Potęga piekielna ich oskrzydla coraz szerzej aż w końcu jej ulegają. Lecz to uleganie nie powinno być wynikłością przewagi szatańskiej, lecz wpływem ułomności, wad w bohatyrach świata moralnego, któreto ułomności drobne, nic nieznaczące w zawiązku, w wynikłościach stają się przyczyną upadku ich, oddają zwycięstwo chwilowe w ręce piekielne; — chwilowe mówię, bo właśnie śmierć bohatyra w dramacie jest tylko upadkiem osobistym, bohatyr ginie jako ofiara, ale sprawa, za którę walczył, zwyciężyć powinna. Wychodząc z tego stanowiska w osądzie trajedii Felińskiego, odmowić jej musimy i silnej traiczności. Najpierw nie widzimy sprawy, za którąby Barbara walczyła; jest ona bierna w całym dramacie, w końcu ginie, nie wiemy dla czego, nie wiemy jaka z tej ofiary wynika korzyść. Trajedia nie powinna budzić w widzach uczucia niesprawiedliwości losu, nie powinna podburzać przeciw opatrzności, ale owszem opatrzności mądrość wykazać. Bohatyr przez drobne winy, przez chwilową ułomność, przez namiętność nieumiarkowaną powinien stać się sam przyczyną swego upadku, a piekielna potęga, której się zdaje, że walczy na własny rachunek, staje się tylko narzędziem opatrzności. A w czemże w dramacie tym Barbara stała się przyczyną swej śmierci, w czem zawiniła? Gdy widzimy najniesprawiedliwiej ginącą, oburzenie powstaje w nas, a my powinniśmy mieć litość obok głębokiej radości z powodu zwyciężającej sprawy.

Ma trajedia Felińskiego i strony dobre, dla których właśnie od naszych ojców tak wysoko ceniona była. Ów wiersz trzynastuzgłoskowy, zachowany w całej trajedii,nadaje jej wielkiej powagi i pewnej harmonii. Odmienna co chwila miara wiersza nieraz w jednej scenie po kilkanaście razy zmieniająca się, to długa, to krótka, to w jambach, to w spondach, trocheach itd. używana od dzisiejszych dramatycznych pisarzów często najprzykrzejsze sprawia wrażenie. Naszem zdaniem mylne to jest wyobrażenie jakoby gwałtowniejsza namiętność lub spokojniejsza rozwaga jedynie krótszym, urywanym, lub dłuższym ciągnącym się wierszem oddane być mogły. I dłuższy trzynastozgłoskowy wiersz dla wyrażenia namiętności może być użyty z korzyścią, może podzielony być na krótsze dwa, trzy i cztery ustępy, a w każdym zasobna pewna siła nemiętności zawrzeć się może. Nie używanie wiersza dłuższego w całym dramacie było przeszkodą naszym lub francuskim klasykom do wprowadzenia silniejszej namiętności w trajedii, lecz to wyobrażenie, że silniejsza burzliwa namiętność nieprzyzwoita jest dla sceny. Pisarze poźniejsi zmieniając to wyobrażenie, zmienili i formę trajedii, jak gdyby ta forma miała coś spólnego z tem wyobrażeniem, wypływała z niego ściśle. A przecie jeśli nas dzisiaj jeszcze zdołają ująć dawniejsze klasyczne trajedie, to niczem innem jeno

tą formą pełną, harmonijną, wypływającą głównie z miary wiersza. Do dziś dnia jest jakieś uprzedzenie u pisarzów przeciw używaniu już nie jedynie trzynastozgłoskowego, ale jednostajnego wiersza. Natomiast weszła w modę dowolność posunięta do ostateczności najdziwaczniejszej nieraz. A tejto niesforności nieograniczonej właśnie dzisiejszej szkole pozbyćby się trzeba. Nie jedynie bowiem chodzi tu o wiersze. Przypatrzmy się naprzykład Felińskiego Barbarze; jaka tam w tym długim wierszu jest pełność okresów, wyrazistość myśli, którę objawić chce. Postawmy obok tego owe łamane ciągle wiersze dzisiejszych daleko większym talentem obdarzonych pisarzów, a obaczymy jak w nich i myśl najczęściej łamanym idzie skokiem i najczęściej przez to na wyrazistości, sile traci.

Zasługa klasycznej szkoły właśnie na tych polega przymiotach wyłącznie, które zachwycały współczesnych, a któreśmy nie uznali dostatecznie.

Przedstawienie tej sztuki na scenie naszej nienajlepiej się powiodło. Już sama zewnętrzna wystawa była ladajaka. Po wieloletnej przerwie zapowiedziano Barbarę Radziwiłłównę Felińskiego. Szczęśliwy pomysł zawdzięczamy staraniom panny Teofili Ceneckiej. Ktożby był zresztą dbał o to. Areopag teatralny ani wiedział zapewne czy jest jeszcze jaka Barbara Radziwiłłówna, i co ją czyni drogą naszej publiczności. A choćby wiedział, czyż upodobania płacącego godne są uwagi i zachodu? Wiedzieliśmy, że trajedia Felińskiego jest bardzo mierna, ale budzi wspomnienia miłe sercom polskim. Wiedzieliśmy, że większa część aktorów ośmieszy olbrzymie postacie przeszłości, ale chcieliśmy przysłuchiwać się z zamkniętemi oczami. Przeto zamawiano miejsca z pospiechem, a ich liczbę przechodziła trzykroć liczba ubiegających się. Po trzykroć więc przedstawiano tę sztukę przy przepełnionym zawsze teatrze. Myślicie może, że przez wzgląd na to dołożono przynajmniej dbałości w zmysłowem przedstawieniu sztuki, gdzietam! największa obojętność!

Dziwić się trzeba, że Tarnowski nie był we fraku, a Boratyński w sukmanie organisty. Jakoż rzeczywiście król August w czasie żałoby po ojcu miał na sobie wszystkie jaskrawe kolory, które czyniły go tym razem podobniejszym do arlekina włoskiego. Niektóre ubiory bohatyrów polskich miałe być nowe, lecz nadzwyczaj ubogie i ladajakie, obwisłe i niezgrabne, wyglądały jakby nicowane lub z starych gałganów zszyte. Najsławniejszy zaś był tron Augusta. Niewiedzieć nawet do czego przyrównaćby go można — kanapka koloru niewiadomego, gdyż barwa właściwa spełzła przez czas, obszarpana, poplamiona, i takież same firanki, oto tron króla Zygmunta. We wszystkiem niedbałość, obojętność, lekceważenie i rzeczy i publiczności. Oburzenie nasze jest słuszne lecz strapienie byłoby także zawczesne. Bywało już gorzej i mijało. Przeminą czasy i dzisiejszego teatru i tylko przykra pamięć po nich zostanie jako pomnik. Teatr dzisiejszy będzie przedmiotem długich szyderstw i pośmiewisk w jutrzejszym teatrze.

Z aktorów najlepiej grała panna Cenecka, najwięcej było widać starania, usilności, a może aż nadto. Przewrotność Włoszki chciała w każdem słowie, w każdem spojrzeniu odmalować. Tymczasem silniejsze wrażenie sprawia gra, w której przewrotność, chytrość maskowana jest aż do niepoznania przed współgrającym i widzem. Tylko w chwilach swobodniejszych, zrzucić powinien aktor tę maskę i odsłonić widzom całą przepaść swego serca. To będzie jedynie zrozumiała i prawdziwa gra. Inaczej współgrający z przewrotnym bohatyrowie wydają nam się nad miarę nierozumni, iż tak źle maskowanej przewrotności uwieść łatwo się dali.

Przybyła z Warszawy nowa aktorka pani Żabicka, wystąpiła w trajedii Maria Rohan. Wyrokować jeszcze o jej zdolnościach dzisiaj nie można. Odznacza się dobrem ułożeniem, pełnem godności. Pojęcie o sztuce ma jasne. Zdaje się, że więcej przyda się do wyższej komedii. W trajedii bowiem w scenach namiętniejszych głos jej niema dostatecznego zupełnie traicznego wyrazu. Zawsze to będzie przybytek bardzo pożądany dla tutejszej sceny.

List do redakcii.

Ale przez rany Chrystusa, czego państwo chcecie od tych biednych braci niepiszących; niedosyć że jakiś Herod literacki wziął się do tych niewiniątek, aliści znowu jakiś Leniuchowski na Leżuchowicach w postaci niby obrony jeszcze zawzięciej bierze się do nich. I żebyż jeszcze sprawiedliwie, ale ja państwu daję szlacheckie słowo honoru, że nieprawda. Oj piszą panie, i jak piszą, i ile piszą na wsi! Aż mi dziś jeszcze włosy stają na głowie, gdy sobie przypomnę, ile to ja nasłuchałem się na wsi utworów i rymem i prozą! Albożto ich wina, że panowie redaktorowie i spółpracownicy pism czasowych ograniczają się na własnem kółku, nie chcą przypuszczać tych wszystkich utworów ze wsi, które chętnie a nawałem zapełniłyby wasze kolumny. Gdybyście jeno przejechali się po wsiach naszych, zrobilibyście połów niepospolity manuskryptów, leżących w pyle dla braku dość zuchwałych wydawców. Znałem ja sam zacnych i pracowitych obywateli, którzy obok zajęć około roli spisywali przez lat kilkadziesiąt wielce ciekawe uwagi nad zmianami meteorologicznemi, lub chemicznemi przemianami potraw codzień spożywanych. Spróbujcie panowie i ogłoście na jakiś dzień jarmark literacki na wszystkie manuskrypta spisane przez szlachtę wiejską, a przekonacie się, że znajdzie się manuskryptów pod dostatkiem, z których najmniej ze trzy bibliotek złożyćby można. Trzeba bowiem wiedzieć, że u nas skoro szlachcic traci majątek, natychmiast bierze się do literatury. Twórczość jego wtedy dochodzi do najwyższego stopnia! Albożto i do ciebie niewdzięczna redakcio, nie zgłaszał się znany w swej okolicy szlachcic i dawał ci do wyboru dwadzieścia epopei, trzydzieści trajedij i pięćdziesiąt powieści, nie rachując w to innych drobnych poezij okolicznościowych i uwag krytycznych, gospodarskich, estetycznych i technicznych bez liku. I dla czegoż odrzuciliście tę szlachetną ofiarę? Oto, przez czystą zazdrość! A teraz skarzycie się na naszych braci niepiszących na wsi. A potem mói panowie piszący, za nic że to liczycie szlachciców dowcipnych? Czyliżto szlachecki dowcip jeden tęgi a dobitny nie stanie za dzieło? Ouwa! Kto w stanie jest dowcip powiedzieć, tenby i dzieło napisał, gdyby nie wolał myśl swoją wydać króciej i jędrniej. I taki dowcip mości dobrodzieju powiedziany np. w złoczowskiem, wnet przemknie aż za San, i każdy się nim na-

cieszy, każdy naśmieje do woli, nie dawszy zań ani grosza. Toć przecie tańsza przyjemność od waszych najtańszych druków, które jeszcze człowiek z bojaźnią za swój grosz nabywa, by nie przeczytał jakiego społecznego paszkwilu, któremito szlachtę, niby postępowemi ostrogami chcecie wypędzać z dawnego, miłego jej legowiska. I nie myślcie panowie, by taki dowcip od czasu tylko do czasu pojawiany, tak szczególną był rzadkością, jak bywały po naszych domach książki polskie przed dwudziestu laty. Jak się uda szlachcic dowcipny, to ci rznie dowcipy jak sieczkę, przy każdej sposobności, w każdem miejscu, czy na weselu, czy na stypie, w wesołem sąsiadów towarzystwie, czy w uroczystem zgromadzeniu obywatelskiem, przy zielonym czy przy radnym stoliku. Ja sam mości dobrodzieju, znałem takiego dowcipnego męża, który już za młodu obiecywał, czem w poźniejszym wieku zostanie, — nic się nie uczył oczywiście, bo miał najprzód wieś, a powtóre dowcip. Jakoż i słusznie zrobił, bo dziś wyszedłszy na człowieka znakomitego, agronoma i polityka niepospolitego, chociaż z lekkiego końca, dowcipuje sobie po smacznym obiadku i przy wonnej fajeczce, z tych wszystkich, którzy sumienne głupcy, długie lata ślęczeli nad książkami, chcąc się czegoś nauczyć i być ziomkom pożytecznymi. Toteż, gdy ci pracowici ludzie smażą sobie głowy i bazgrzą bez końca, ów mąż dowcipny, niewielki zrobiwszy wydatek pracy umysłowej i wyłożywszy mały dla się nic nieznaczący koszt pieniężny dla artystów, którzy mu ołówka pożyczyli, za pomocą samego tylko dowcipu własnego, złożył całą, dziwnie sprytną kolekcją karykatur, naśmiewających się dowcipnie z owych wszystkich poczciwców, piszących książki. I pytamże się, czy taki zbiór karykatur, jakby zbiór dowcipów ołówkiem drukowanych nie stanie za zbiór książek, w których częstokroć nie zdybać ani jednego dowcipu? I czyliż człowiek tak uniwersalnie dowcipny, choć nie pisze książek, nie stanie za stu piszących? Młodzież najłatwiej go pojmie, najłatwiej to zrozumi, że w ten sposób bez pracy i nauki można wyjść na wielce sławnych ludzi. Więc w to jej tylko graj. Jakoż nasz szlachcic swojemi i dowcipami i karykaturami zrobił na nią wpływ pożądany. Chwałać bogu, książki rzuciła i bawić się zaczyna w dowcip i w karykatury. Szlacheckie ziarno gdzie padło na rolę szlachecką wydaje plon obfity. Ależ spytajcie się także wszystkich jarmarkowych towarzyszów, owych „znawców pośladków wolich i nóg końskich,“ wszystkich sąsiadów tego pana, jak go słuchają z gębami otwartemi, gdy im sypnie swoje dowcipne powiedzenia. Jego dowcipy mają przecie w kraju sławę i wziętość większą od niejednej książki drukowanej, a biegają po kraju lotem łyskawicy z końca w koniec i równie książkom występują nieraz w edycjach powtarzanych i odnawianych przez mniej powcipnych wielbicieli tego arcydowcipnego szlachcica. Ale.... ale.... ledwom nie zapomniał ważnego bardzo rysu z jego lat dawniejszych, dowodzącego, że się już wówczas zakazywało w szlachcicu na niepospolity dowcip. Po chrzcie dostał on imię Piotr, a nazywał się Dzielicki, i długi czas był Piotrusiem po prostu. Lecz gdy już miał właśnie wychodzić na Piotra, przyszło mu na myśl, że trzeba będzie podpisywać się na biletach wizytowych, a oczywiście człowiek dobrze urodzony i porządny nie może inaczej podpisywać jeno po francusku. Jakże tu do nazwiska Dzielickiego dodawać francuskie Pierre, jakoś nieharmonijnie, a więc dowcipnym zwrotem przemienił Piotra na imię inne. Lecz na cóż tu szczegółowe przytaczać przykłady? Jednem słowem między braćmi naszemi, których wy piszący i dla grosza pisać przymuszeni, niepiszącemi nazywacie, jest pełno takich, którzy niepisane, ale niemniej ważne i treściwe rzucają w świat dowcipy, któreć przecie godne są zostać pomnikami wysokiego w naszym wieku ukształcenia naszej szlachty. I dla tego w imieniu ludzi umiarkowanych, nienależących do żadnego stronnictwa, wzywam cię szanowny wydawco dziennika i was zacni współpracownicy, uwiecznieni lepiej karykaturami Dzielickiego niżeli waszemi artykułami, abyście już raz przestali atakować naszych braci niepiszących na wsi, z których jedni jak dowiodłem, piszą i piszą niemało, a drudzy choć nie piszą mają dowcip i kwita!

□

Nowości.

Z Poznania. Dr. Teofil Matecki napisał dziełko dla matek i trudniących się wychowaniem: O wychowaniu fizycznem dzieci w pierwszych latach siedmiu. Z wyjątków umieszczonych w dzienniku domowym widać znajomość przedmiotu, jasność i wytrawność zdań i przystępny wykład.

Do drugiego wydania „Wieczorów pod lipą“ Luciana Siemieńskiego, dołączone będą ryciny Oleszczyńskiego, które przeznaczone były dawniej do Niemcewicza „Spiewów historycznych“

Z Warszawy. Dzwonu literackiego oddział drugi już rozpoczął się drukować. Redaktorem jest Wilkoński. Jestto najlepsze pismo warszawskie. Niema w niem jeszcze tej martwoty, jaka owładnęła dzisiaj celniejsze niegdyś pisma warszawskie: Bibliotekę i Przegląd. Panowie redaktorowie tych pism już zapomnieli zupełnie, że wydają pisma czasowe. Chyba, że czasowość pism u nich na tem polega, iż czasem na świat wychodzą. Żadnej myśli czasowej, ani literackiej, ani społecznej dotkniętej w nich nie znajdziesz, żadnego udziału dla literatury czasowej i nieczasowej dzisiejszej. Wszystko jedno, czy w Warszawie, czy w Chinach, by wychodziły.

Lepszem pismem chociaż przy mniejszych siłach redagowanym jest Przegląd poznański. Redaktor Szafarkiewicz. Jestto jedyne pismo, w którem znajdziesz poważną i rozsądną krytykę dzieł historycznych obok usiłowania zebrania ile możności promieni rozmaitych życia umysłowego w kraju.

F. M. Sobieszczański napisał rozprawę pod tytułem: „Rys historyczno-statystyczny wzrostu i stanu miasta Warszawy od najdawniejszych aż do naszych czasów,“ która ma być umieszczona w nowej Taryfie, wydawanej przez p. Swiątkowskiego, inżyniera miasta.

Wydawca TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.